

# Rozdział 1

Kiedy miałam trzynaście lat, ojciec poprosił mnie, żebym przetłumaczyła list. Nie był to żaden specjalny moment ani wyszukany gest: po prostu pojawił się w kuchni z kartką złożoną na cztery, jakby to był jakiś przepis albo lista zakupów. Odrabiałam pracę domową, z łokciami opartymi na stole i otwartym podręcznikiem od matematyki, kiedy położył kartkę obok mnie.

– Możesz przetłumaczyć to na ruski? – zapytał, jakby prosił, żebym podała mu sól. Powiedział to, nie patrząc na mnie, jakby bał się mojej reakcji albo jakby sam nie był pewien, co właściwie robi. Mój ojciec miał taki sposób mówienia: bezpośredni, suchy, bez ozdobników. Ale tym razem było w tym coś jeszcze. Jakaś powściągnięta pilność, nerwowość, której u niego nie znałam.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że drapie się po brodzie – gest, który robił, kiedy był niespokojny. Mimo to moją pierwszą reakcją był sprzeciw. – Co to jest? – zapytałam, marszcząc brwi. – Nic, list – odpowiedział, wzruszając ramionami.

Ale to nie było „nic”. Ojciec nigdy nie pisał listów. Nie pisał życzeń, notatek ani nic innego. To mnie zbiło z tropu i, szczerze mówiąc, wywołało we mnie dziwną mieszaninę zażenowania i irytacji. Kiedy ma się trzynaście lat, każdy nietypowy gest rodziców wydaje się zagrożeniem dla normalności, którą próbujemy wokół siebie budować. – Do kogo? – zapytałam. – Do... – zaczął, ale przerwał, jakby szukał słów. – Do pewnych ludzi na Ukrainie.

Ukraina. Słowo brzęknęło w kuchni jak ciężki przedmiot. Dla mnie Ukraina była pojęciem abstrakcyjnym, nazwą pojawiającą się na szkolnych mapach jako część dawnego Związku Radzieckiego, ogromnego bloku ginącego gdzieś po prawej stronie, dalekiego terytorium, o którym nic nie wiedziałam. Nie miałam z tym krajem żadnego związku – ani z jego ludźmi, ani z jego językiem. – A dlaczego po rosyjsku? – zapytałam już zirytowana. – Bo tam... – znów zawahał się. – Bo tam to rozumieją.

Nic więcej nie wyjaśnił. Nic nie rozumiałam. Ani listu, ani tej nagłej potrzeby, ani tonu. A przede wszystkim nie rozumiałam, dlaczego prosił o to właśnie mnie.

Schowałam list do zeszytu od rosyjskiego i zapomniałam o nim. A raczej udawałam, że zapomniałam. W rzeczywistości było to dla mnie takie dziwne, że wolałam o tym nie myśleć.

Język rosyjski był przedmiotem, którego najbardziej nie lubiłam. Nie z powodu trudności – w gruncie rzeczy radziłam sobie całkiem dobrze – lecz z powodu tego, co reprezentował. Choć w wieku trzynastu lat nie umiałabym tego tak nazwać. To, co czułam, było bardziej mgliste: niewygodna, awersja, która skądś się brała, ale której nie potrafiłam wyjaśnić. Domyślałam się jej istnienia z komentarzy dorosłych w domu, z tonu, jakim ojciec wymawiał pewne słowa, z milczenia wokół niektórych tematów. I widziałam to w podręcznikach, gdzie każda lekcja, także rosyjskiego, miała w sobie tę samą powtarzaną na różne sposoby ideę: zjednoczony lud, wspólny wysiłek, wielkość państwa. Proza, która pachniała propagandą, nawet dla trzynastolatki, choć nie wiedziałam jeszcze dokładnie, dlaczego.

